

ROZPRAWY I SZKICE

Michał Paweł Markowski

Humanistyka i egzystencja, czyli dlaczego zajmujemy się literaturą?

1. Na pytanie, „dlaczego zajmujemy się literaturą?”, odpowiedzi padają różne. Niektórzy z nas – jak ja – po prostu nie umieją robić niczego innego, inni mogliby i powinni robić coś innego, ale – nie wiedząc czemu – upierają się, że to właśnie literatura musi być ich zajęciem. Jedni zajmują się literaturą z konieczności, inni – z przypadku, i wcale nie wiadomo, co lepsze. Ilu ludzi, tyle osobistych historii w tle literaturoznawczej profesji i tyle samo głębszych lub płytszych motywacji. Dyskusje na temat literaturoznawczych powinności i ideałów rzadko dotykają kwestii osobistych, co czasami ma także i dobre strony, gdyż nie jest bynajmniej oczywiste, że osobowość z definicji, w każdym przypadku, jest fascynująca. Nie ma tu nic zaskakującego: wystarczy czytać teksty.

2. Pytanie, „dlaczego zajmujemy się literaturą?”, jest – jak przypuszczam – nader kłopotliwe, z dwóch powodów. Pierwszy to taki, że przecież dla literaturoznawcy zajmowanie się literaturą jest jak ścinanie drzew dla drwala: wątpię, żeby drwala nurtowało pytanie, dlaczego rąbie drzewa. Odpowiedź jest oczywista: las trzeba wycinać, więc ktoś musi to robić. Podobnie z literaturą i literaturoznawstwem, które jest takim samym zawodem jak inne, nie lepszym (wbrew licznym fantazjom) i nie gorszym (wbrew licznym resentymentom). Teksty literackie istnieją, więc ktoś musi je czytać i nie ma w tym nic dziwnego, podobnie nie ma nic dziwnego w tym, że ktoś musi ścinać drzewa. Jako zawód jednak, literaturoznawstwo opiera się raczej na konieczności niż przyjemności: trudno przypuszczać, by zawodowe czytanie brało przyjemność pod uwagę, podobnie jak trudno przypuszczać, by wypruwanie sobie flaków dla ścięcia sosny kanadyjskiej przyprawiało o rozkosz.

3. Drugi powód jest znacznie poważniejszy. Otóż literaturoznawstwo aspiruje nie tylko do „znawstwa”, ale i do nauki („nauki o literaturze”), która to aspiracja likwiduje czysto prywatny punkt widzenia i zakłada ponadjednostkowe normy uzasadniania własnego dyskursu. Tak przynajmniej dowodzą zwolennicy literackiego znawstwa, którzy powiadają, iż w polu ich profesji subiektywność i ponad- czy intersubiektywność zdecydowanie się wykluczają. Subiektywność jest dla nich godna pogardy z tego głównie powodu, że podobno przesłania swoją kapryśną dowolnością prawdziwy obraz rzeczy. Z tej to przyczyny zakładają, że nauce (w tym nauce o literaturze) patronuje nieodmiennie łacińskie adagium *de nobis ipsis silemus*, „o nas samych będziemy milczeć”, które Kant przepisał ze starego Bacona i położył na stronie tytułowej *Krytyki czystego rozumu*. Czy może się to udać – wątpię bardzo. Pragnienie takie kryje w sobie założenie, że ten, kto mówi, jest – jakby to określił Nabokov – *a transparent thing*, dalej – że akt mówienia nie jest w ogóle usytuowany (w osobistej i ponadosobistej historii) oraz że podmiot wypowiedzi całkiem panuje nad tym, co mówi, zaś tym, co mówi, rządzi jedynie logika klarownego argumentu. Być może opisałem w ten sposób szept anioła, wątpię jednak, by ktoś z nas – ludzi uporczywie nieprzezroczystych – pasował do tej roli.

4. Kiedy parę lat temu Henryk Markiewicz zaszczyił mój skromny przyczynek do krytyki naukowego rozumu swoją wyważoną polemiką (która okazała się – wedle jego własnych, nader trafnych słów – użeraniem się „psa z kotem” [ja chętnie widziałbym siebie w roli kota]), to umieścił sam siebie właśnie w takiej pozycji bytu eterycznego: naukowca, dla którego główne problemy dotyczą wyłącznie tego, **o czym** nauka o literaturze może i chce mówić, nie zaś tego, **jak** i w ogóle **dłaczego** ma zabierać głos. Z tego powodu opowiedział się po stronie obiektywności, sugerując, że subiektywność samego badacza w polu nauki (czy wiedzy) w ogóle nie powinna się ujawniać, gdyż zaciemnia to, jak rzeczy naprawdę się mają. Nie zgadzam się z taką postawą. Otóż uważam, że my wszyscy – Henryk Markiewicz także – zajmujemy się literaturą z całkiem osobistych powodów i że powody owe nie mają nic wspólnego ze starym dobrym rozróżnieniem na postawę subiektywną i obiektywną, jakkolwiek by te postawy wartościować.

5. Najkrócej, a jednocześnie najmocniej jak można, powiedziałbym tak. Rozróżnienie na to, co subiektywne, i to, co obiektywne, jest reliktem pełnej przesądów epistemologii, która chce być królową nauk, czyli wszystkie odniesienia człowieka do świata podporządkować jednemu jedyemu modelowi, a mianowicie relacji, jaką podmiot naukowego dyskursu ustanawia ze swoim przedmiotem. Relacja ta opiera się na fundamentalnym przeświadczeniu, że literatura może i powinna stać się przedmiotem (obiektem) badania, które powinno nam dostarczyć pewnej wiedzy na jego temat, wiedza ta zaś powinna

być zbiorem trafnych przedstawień. W ten sposób obiekt badania zostaje podwójnie wyizolowany: oderwany od świata, na tle którego mógłby cokolwiek znaczyć, i oderwany od samego badającego, który przypatruje mu się z uwagą, ale nie widzi w nim nic, co mówiłoby mu cokolwiek o nim samym i jego własnym świecie. Ta podwójna alienacja kończy się na tym, że do opisu danego przedmiotu wymyśla się równie osobny język. Tak powstała nauka o literaturze i tak się nadal rozwija: jako utopia czystego języka przedmiotowego, nieskażonego innymi językami. Ktoś, kto – jak ja – nie wierzy w autonomię literaturoznawczego języka, nie może też – *eo ipso* – wierzyć w autonomię dyscypliny zwanej literaturoznawstwem. Czy może więc wierzyć w autonomię dyscypliny zwanej polonistyką? Nie muszę chyba na to pytanie odpowiadać.

6. Jak odpowiada się najczęściej na pytanie o naukowość jakiejś dyscypliny? W zgodzie z klasyczną procedurą metodologiczną, a mianowicie poprzez wskazanie jej przedmiotu. Tak powstają nauki i tak na przykład powstała niegdyś nauka o literaturze, która jako osobna dyscyplina – a nie zlepek rozmaitych metod – mogła się pojawić dopiero wtedy, gdy wynaleziono jej obiekt, a okazała się nim „literackość”. Nauka powstaje wtedy, gdy znajduje swój obiekt, który – dodajmy – powinien się różnić od innych obiektów, wyznaczanych przez inne nauki. Przedmiotem nauki zwanej geografją jest ziemia, *gea*, którą trzeba opisać, przedmiotem fizyki jest przyroda, *physis*, wreszcie – przedmiotem nauki o literaturze jest literatura.

Tu jednak zaczynają się kłopoty. Powiedzmy, że wiemy, czym jest ziemia i czym jest przyroda, choć chyba żaden geograf i żaden fizyk nie byłby skłonny do tak szybkiej zgody. Zgody być nie może także w przypadku literatury. Co szkoła, to inna definicja literatury, co język, to inna rzeczywistość. Początkowo chciałem powiedzieć, że tym nauki humanistyczne różnią się od przyrodniczych, że ich przedmiot uzależniony jest od języka opisu. Kto jednak ma w pamięci Einsteina i Heisenberga, to wie, że i nauki przyrodnicze nie opisują tego, co widzą okiem nieuzbrojonym, lecz konstruują pewną wizję świata za pomocą dostępnych sobie narzędzi. Z punktu widzenia powstawania nauk nie ma różnicy między naukami przyrodniczymi i naukami humanistycznymi. W obu wypadkach mamy do czynienia z instytucjonalizacją określonego języka mówienia o rzeczywistości. Różnica, która tkwiła u podstaw nie tylko oddzielenia nauk przyrodniczych od humanistycznych, lecz także powstania tych drugich – różnica między wyjaśnianiem a rozumieniem – nie daje się już utrzymać. Aby cokolwiek wyjaśnić, musimy używać języka, którym umiemy się posługiwać, a więc który rozumiemy. Musimy najpierw zrozumieć narzędzia, które stosujemy, zanim je zastosujemy. A kiedy to nastąpi, to okaże się, że tylko ta część rzeczywistości jest dostępna naszemu wyjaśnianiu, która poddaje się opisom dokonany w tym oto, a nie innym języku, czyli wyjaśnianie nie jest ani przeciwieństwem rozumienia, ani też nawet – jak twierdzą na przykład zwolennicy tezy o pierwszeństwie analizy przed interpretacją – jego pierwszą, wstępną fazą. Nie mogę niczego wyjaśnić, dopóki nie zrozumieję języka, za

pomocą którego wyjaśniam. A rozumiem język, którym się posługuję, tylko wtedy, gdy potrafi on cokolwiek wyjaśnić.

Jak widać, w perspektywie języka jako narzędzia znika spór nie tylko między wyjaśnianiem a rozumieniem, lecz także naukami humanistycznymi a naukami przyrodniczymi. Każda z nauk wyznacza obszar swojego badania za pomocą wybranych przez siebie arbitralnie narzędzi. Narzędzia te nie spadają z nieba, lecz są naszymi wynalazkami. Podział na nauki nie jest podziałem – jak to się często wierzy – naturalnym, lecz arbitralnym, i nie leży w naturze rzeczy samych, lecz dyskursu, za pomocą którego chcemy uzasadniać swoją pozycję w świecie. Jak pisał już ponad 200 lat temu Friedrich Schlegel, w 82 fragmencie *Athenaeum*:

Z dedukcjami w filozofii sprawy nie mają się lepiej niż z okupacją w polityce: w naukach tak samo najpierw zajmuje się teren, a dopiero potem się dowodzi, że się ma do niego prawo.

7. Co z takiego ujęcia nauki wynika? Przede wszystkim to, że podział obszaru nauki na dyscypliny – a co za tym idzie – podział uniwersytetu czy każdej innej jednostki naukowo-dydaktycznej na fakultety, wydziały czy katedry jest podziałem arbitralnym i nie wynika z żadnej istoty rzeczy. To podział pragmatyczny, ułatwiający funkcjonowanie jednostek badawczych i dydaktycznych zgodnie z podziałem kompetencji, który – trzeba to podkreślić bardzo mocno – nie jest bynajmniej naturalny. Podział ten jest dość oczywisty, gdy w grę wchodzi różnica między – powiedzmy – Katedrą Anatomii a Katedrą Teorii Literatury, kiedy jednak okaże się, że teoretyczne pytanie o sposoby przedstawiania ludzkiego ciała w kulturze zachodniej mają ten sam obiekt – ludzkie ciało – co pytanie o jego anatomiczną budowę, to różnica między tymi dwiema dyscyplinami – teorią literatury i anatomią – staje się jedynie różnicą stosowanych narzędzi, a więc – jak powiadam – różnicą języków. Oczywiście, niedobrze by się stało, gdyby teoretyk literatury brał skalpel do ręki i majstrował przy ludzkiej tkance, podobnie jednak niefortunne okazałyby się próby określania przez anatoma, czym jest literatura. Można jednak śmiało założyć, że anatomia i teoria literatury mogłyby, choć przez chwilę stanowić dyscypliny tego samego fakultetu, jeśli jego granice wyznaczałby ten sam przedmiot, zakładający różne sposoby jego opisu.

8. Zmień język, a zmienisz tym samym przedmiot swoich badań. To oczywiste wydawałoby się określenie zyskuje swoje potwierdzenie przez zaprzeczenie, jakim jest okopywanie się dyscyplin na swoich pozycjach. Czym się różni kulturoznawstwo od literaturoznawstwa na przykład? Tym, że pierwsze do opisu kultury najczęściej używa języka socjologii lub antropologii albo mediologii, drugie zaś języka..., no właśnie, jakiego języka? Do opisu kultury – przy założeniu, że literatura jest częścią kultury – literaturoznawstwo używa dokładnie takich samych języków jak kulturoznawstwo, ucieka zaś od tej wspólnoty wtedy, gdy chce pokazać, że dysponuje całkiem osobnym języ-

kiem do opisu zjawisk literackich. Jest to możliwe jednak tylko wtedy, gdy znajdziemy taką płaszczyznę, na której literatura rzeczywiście będzie pyszniła się swoją nieporównywalnością. Czy to możliwe? Owszem, ale tylko w jednej jedynej perspektywie, a mianowicie jeśli uznamy, że literatura posiada taką właściwość, której nie posiadają inne przedmioty, że tkwi w niej esencja, nie do znalezienia gdzie indziej. Pamiętajmy, że perspektywa ta, która – przypomina – powołała do życia naukę o literaturze, jest tylko JEDNĄ Z WIELU MOŻLIWYCH perspektyw, jednym z wielu języków opisu, jaki do badania literatury można zastosować. Życie jednak i zawile drogi historii pokazały, że – przynajmniej w Polsce – ta jedna optyka zwyciężyła, wobec czego literaturoznawstwo z ochotą uznało, że różni się od historii, albo historii sztuki, albo filozofii, ponieważ MA to, czego inni nie posiadają: literackość jako przedmiot swojej dyscypliny. Mając już coś tak wspaniałego w rękę, jak esencja, nie puszcza się tego wolno, stąd instytucjonalizację literaturoznawstwa – ale i wszystkich innych dyscyplin – można traktować jako absolutyzację jednego języka opisu, fetyszyczację jednego rodzaju dyskursu. Gdy tego nie zrobimy, gdy nie uzasadnimy istnienia dyscypliny przez istnienie jej przedmiotu, dyscyplina rozpadnie się na różne, całkiem z sobą niezbieżne języki opisu. A wtedy może się po prostu okazać, że nie ma żadnej dyscypliny pod nazwą nauka o literaturze.

9. I co wtedy? Spróbujmy sobie wyobrazić taki scenariusz. Nagle wszyscy literaturoznawcy uprzytomniają sobie, że czego innego chcą od swojego przedmiotu, że nie ma jednego słownika, za pomocą którego da się „obiektywnie” opisywać literaturę, i że – co najważniejsze – żaden z używanych przez nich słowników nie jest z natury swej lepszy od innych. Co się na przykład stanie, gdy teksty literackie będziemy czytać jako kawałki ludzkiej umiejętności radzenia sobie z własnym lękiem, a nie jako osobliwe świadectwa pewnej praktyki językowej? Dlaczego umiejętność składania słów w rymujący się bibelot miałyby być lepszą podstawą do zajmowania się literaturą niż strach popychający do tworzenia? Oczywiście wiadomo, dlaczego. Dlatego, że strachem zajmuje się psychologia, a składaniem słów w określonym porządku literaturoznawstwo. Ten podział kompetencji jest oczywiście sztuczny – i psychologia, i literaturoznawstwo bowiem zajmują się człowiekiem, tyle że innych używają do tego narzędzi. Skoro jednak poszczególne dyscypliny wydziela się nie wedle języka, tylko wedle przedmiotu (gdyby było inaczej, fizyki nie dałoby się oddzielić od matematyki, gdyż obie posługują się tym samym językiem), uznanie, że wspólnym przedmiotem psychologii i literaturoznawstwa jest człowiek, zaprowadziłoby do nadwątlenia granic między tymi dwiema dyscyplinami. Psychologowie w takim samym stopniu korzystają w swoich badaniach z tekstów literackich, jak literaturoznawcy z psychologicznych. Wymienność języków jest tak duża, że o tym, kto mówi, decyduje nie język, lecz jedynie zajmowane przez niego miejsce w strukturze danej instytucji.

10. Jeśli dziś możemy mówić o dyscyplinie pod nazwą nauka o literaturze, to nie dlatego, iż wierzymy, że istnieje osobny przedmiot do badania, którego nie mogłyby badać inne dyscypliny, ale dlatego, że istnieją instytucjonalne sposoby jej legitymizacji. Nauka o literaturze istnieje nie dlatego, że istnieje jakaś esencja literatury, ale dlatego, że musi istnieć dyscyplina, która ma do wykarmienia setki tysięcy ludzi: od profesorów, przez studentów do wydawców, a nawet woźnych i sprzątaczek. Wydaje się, że to właśnie instytucjonalny przymus trzyma przy życiu dyscypliny naukowe, zwłaszcza w naukach humanistycznych. Skoro tak, to nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że ów instytucjonalny przymus ma rozstrzygające znaczenie w definiowaniu tego, co decyduje o autonomii dyscypliny. Literaturą jest to, co ustala – mówię oczywiście przenośnie – Wielka Rada Programowa Nauki o Literaturze. A ustala to dlatego, że jej członkowie posługują się językiem, który tak, a nie inaczej ustanawia swój przedmiot. Innymi słowy, mówiąc w wielkim skrócie, Wielka Rada ustanawia samą siebie, które to błędne koło trudno z takiej sytuacji wyeliminować (ściślej rzecz biorąc, mamy tu do czynienia z błędem nazywanym w logice *post hoc ergo propter hoc* („po, a więc przed”)); skoro profesor mówi, czym jest literatura, to znaczy, że ona taka jest). Oznacza to tyle, że istota literatury znajduje się pod doskonałą kontrolą i może być przedmiotem szantażu, którego ofiarą padają wszyscy ci – od studentów po profesorów – którzy nie potrafią sztucznie pokawałkować swojego doświadczenia i nie wierzą, że jakikolwiek język może nabrać charakteru absolutnego. „To nie jest naukowe”, „to nie jest polonistyczne”, „to nie jest antropologiczne”: tak brzmią zwykle przejawy symbolicznej przemocy, która jest decydującym czynnikiem w podtrzymywaniu czystości języka i autonomii dyscypliny. Uważam, że ta podwójna wiara w czystość języka i autonomię dyscypliny jest zgubna i szkodliwa. O ile oczywiście zależy nam w ogóle na tym, co powinno być prawdziwym celem naszych zatrudnień: **na kształceniu ludzkiej wrażliwości i wyobraźni**. Nie wiedza więc i nie znawstwo (pozostałości po epistemologicznej iluzji), lecz to, co Henry James nazywał *a moral imagination*, powinno nas – literaturoznawców – interesować przede wszystkim. Dlaczego? Bo nie ma ważniejszej dzisiaj rzeczy na świecie.

11. Pokaż mi swoją bibliotekę, a powiem ci, kim jesteś. Po tym, jak układamy książki na półkach widać po trosze, jakimi drogami chadza nasza wyobraźnia. Bardzo chętnie porównałbym badacza literatury do kolekcjonera książek, ponieważ obydwaj mają osobisty stosunek do książek. Owszem, są zbieracze, którzy nie czytają książek, ale książek nie czytają też badacze literatury, możemy więc zbagatelizować uwagę tego rodzaju. Mnie interesują kolekcjonerzy podobni do Waltera Benjamina, którego pięknemu esejowi *Ich packe meine Bibliothek aus* (*Rozpakowuję moją bibliotekę*) chciałbym teraz poświęcić parę słów. Esej ten powstał w roku 1931, kiedy Benjamin na chwilę powstrzymał swój pęd do podróży i rozkoszował się stałym miejscem, Berlin-Wilmersdorf, gdzie mógł nareszcie zebrać wszystkie swoje książki. Esej

o bibliotece nosi znamieny podtytuł: *Eine Rede über das Sammeln* (Odczyt o zbieractwie), bo to nie tyle rozprawa o książkach z biblioteki, ile pogadanka o samym fenomenie zbieractwa. Benjamin sam był namiętnym kolekcjonerem (szczególnie miejsce w jego kolekcji zajmowały ilustrowane książki dla dzieci) i chętnie pisał o innych wielkich kolekcjonerach, jak Edward Fuchs, o którym wspomniał esej powstał w Paryżu, w roku 1935.

12. Esey zaczyna się od błahej sytuacji: rozpakowywania książek ze skrzyń, co daje powód do snucia refleksji na temat kondycji kolekcjonera, bowiem kolekcjoner, mówiąc o książkach, może mówić tylko o sobie, *nur von sich*. Nie będę tu oczywiście streszczał całego eseju, lecz od razu przejdę do najbardziej interesującego wątku, jakim jest to, co naprawdę ustanawia relację między zbieraczem i jego kolekcją. Oto kluczowy cytat w moim tłumaczeniu.

Habent sua fata libelli. Słowa te mogły być pomyślane jako ogólne stwierdzenie na temat książek. Tak więc takie książki, jak *Boska komedia*, *Etyka* Spinozy i *O pochodzeniu gatunków* miały swoje losy. Zbieracz wszakże interpretuje to łacińskie powiedzenie całkiem inaczej. Dla niego nie tylko książki, ale też ich poszczególne egzemplarze mają własne losy. W tym znaczeniu najważniejszym przeznaczeniem książki jest spotkanie z kolekcjonerem, z jego własną kolekcją. Nie przesadzę, gdy powiem, że dla prawdziwego zbieracza nabycie starej książki jest jak ponowne narodziny. To coś dziecięcego, co miesza się w kolekcjonerze z dorosłością. Dzieci bowiem potrafią odnowić istnienie na sto niezawodnych sposobów. Wśród dzieci kolekcjonowanie to tylko jeden ze sposobów odnawiania; inne to malowanie przedmiotów, wycinanie figurek, kalkomania – cała skala dziecięcych przywłaszczeń, od dotykania rzeczy do ich nazywania. Odnowić stary świat – oto najgłębszy popęd w pragnieniu kolekcjonera i dlatego zbieracz starych książek bliżej jest źródeł kolekcjonerstwa niż zbieracz kosztownych edycji [389–390].

Opuszczam całą dużą część na temat nabywania książek na aukcjach (Benjamin opisuje tu swoje polowania na *Jaszczura* Balzaka i *Nachlass eines jungen Physiker* Johanna Wilhelma Rittera, „najważniejszy przykład prozy osobistej niemieckiego romantyzmu”) i zmierzam do zakończenia eseju. Powiada w nim Benjamin, że „fenomen kolekcjonerstwa traci sens, gdy traci swój podmiot”. Oznacza to, że o kolekcjonerstwie decyduje nie dziedzina przedmiotowa (sama kolekcja), lecz relacja, jaką podmiot kolekcji – sam zbieracz – ustanawia między sobą i swoimi książkami, relacja – jak powiada Benjamin – „najgłębsza, jaką można mieć z rzeczami” [396]. „Nawet jeśli zbiory publiczne mogą być społecznie bardziej bez zarzutu i bardziej użyteczne akademicko niż prywatne kolekcje, przedmioty tylko w tych ostatnich dochodzą swoich praw [*kommen zu ihrem Recht*]” [395]. Co to za prawo, które rządzi kolekcją? Prawo wyobraźni i pamięci. „Jestem już przy ostatniej, na pół już opróżnionej skrzyni i dawno minęła już północ. Nachodzą mnie inne myśli, od tych, o których mówiłem. Nie myśli, lecz obrazy i wspomnienia. Wspomnienia miast, w których znalazłem tak wiele: Ryga, Neapol, Monachium, Gdańsk, Moskwa, Florencja, Bazylea, Paryż” [396].

13. Dlaczego wspominam tu Benjamina? Otóż, dlatego, że uważam, iż fenomen kolekcjonerstwa, tak jak opisuje to Benjamin, pozwala nam lepiej zrozumieć to, czym sami się zajmujemy, uprawiając nasze gry z literaturą. Tym czymś jest „odnawianie egzystencji” przez przyswajanie sobie czegoś innego, niż posiadaliśmy do tej pory. Każdy, kto pisze o literaturze, postępuje jak kolekcjoner: poluje nie na przedmioty, lecz na zdarzenia, które pozwolą mu poszerzyć przestrzeń własnego życia. „Odnówić stary świat” – oto marzenie, które nachodzi mnie, gdy zabieram się do pisania o literaturze, bowiem świat, w którym żyjemy, w którym ja żyję, świat, w którym rozwija się nasza egzystencja, z każdą chwilą staje się stary i domaga się nieustannej odnowy. Nie domaga się nowości, lecz odnowienia, odświeżenia, odzyskania, domaga się, jakby powiedział Szołowski, odzwyczajnienia, które przyjść może tylko wtedy, gdy nie uwierzymy w świat gotowych i zamkniętych przedmiotów, dających się poukładać w szczelnie odgradzonych od siebie szufladach.

14. I tu dochodzę, a raczej pośpiesznie doskakuję, do konkluzji mojego wystąpienia. Na pytanie, „dlaczego zajmujemy się literaturą”, odpowiadam następująco i zwięźle. Dlatego, że literatura dostarcza nam wygodnych narzędzi do tworzenia fikcji, bez których życie jest niemożliwe. Nie możemy nie konstruować nieustannie swojego odniesienia do świata, gdyż nie jest ono dane z góry, automatycznie i naturalnie. Musimy odnawiać swoje przymierze ze światem w języku, który pożyczamy od innych i przysposabiamy do własnego użytku. Nie używamy języka, który nie pasuje do naszego myślenia, a nasze myślenie pomaga nam – przede wszystkim – orientować się w świecie, co oznacza, że język to użyteczny konstrukt, za pomocą którego możemy tego i owego w życiu dokonać. Wszystkie rzeczy tego świata nabierają sensu tylko dlatego, że umiemy coś o nich powiedzieć, a umiemy to zrobić tylko dlatego, że dokonaliśmy takich, a nie innych wyborów, nie zaś dlatego, że tak po prostu jest. Nic nie jest po prostu, jeśli dotyczy świata, w którym żyjemy. To, co bierzemy za oczywistość, jest tylko inną nazwą naszej nieumiejętności „odnawiania egzystencji”.

15. Literatura sama zbudowana jest z takich fikcji – narracyjnych, obrazowych, retorycznych – którymi posługujemy się w naszym życiu do dowiedzenia zasadności naszego istnienia, do opisanego, czym, według nas, są rzeczy i kim są inni ludzie. Nie ma w takim ujęciu niczego niebezpiecznego, a widmo relatywizmu w ogóle nie pojawia się na horyzoncie. Przez fikcję rozumiem tu – etymologicznie – każdy dyskurs służący do skonstruowania jakiegoś świata przez podmiot i znalezienia w tym konstruowaniu jakichś *fellow travellers*. Od Nietzschego wiemy, że życie samo jest zbyt przerażające, byśmy nie starali się go zagadywać na tysięczne sposoby, ułatwiające nam życie. Od Vaihingera wiemy, iż umysł ludzki musi konstruować fikcje, które mówią, że wszystko jest „jak gdyby”, czyli że relacja nasza ze światem jest metaforyczna, a nie naturalna. Od Jamesa wiemy, że kogoś innego rozumiemy tylko w tej

mierze, w jakiej rozumiemy samych siebie (co nie oznacza, że nie możemy nigdy nikogo zrozumieć, lecz że powinniśmy najpierw jak najlepiej poznać samych siebie, zanim zabierzemy się do poznawania innych). To nowoczesne doświadczenie, reprezentowane także przez Benjamina, podpowiada nam, że naszym przeznaczeniem jest odnawianie fikcji, za pomocą których chcemy zrozumieć świat i siebie, nie ma bowiem nic gorszego od zjełczałych lub znooszonych fikcji. Takie jest według mnie przeznaczenie humanistyki: powinna nas ona uczyć radości z odnawiania istnienia, a tym samym – tworzenia interesujących dla nas i dla innych fikcji. A to można osiągnąć tylko wówczas, gdy odrzuci się zgubną ideę, że przedmioty istnieją niezależnie od naszego doświadczenia i w konsekwencji – ideę, że dyscypliny naukowe są tworam i wiecznymi. Można to osiągnąć wtedy, gdy – jak sugerował Benjamin – naszą dorosłość zarazimy dziecięctwem. Cóż innego bowiem czynimy, my starzy, kiedy zajmujemy się literaturą? Malujemy przedmioty, robimy wycinanki i kolaże, lepimy ręce kalkomaniami, nazywamy stare rzeczy nowymi słowami. Wszystko to, moi drodzy, jedynie użyteczne fikcje, za pomocą których niełaskawy świat daje się wziąć w iluzoryczne posiadanie. W tym sensie literaturoznawstwo nie różni się niczym od innych strategii egzystencjalnego pocieszenia, takich jak literatura czy filozofia. Zrozumieć, jak one działają – oto cel, który mógłby przyświecać naukom humanistycznym, które nie musiałyby się wstydić swojej nazwy.

HUMANITIES AND THE HUMAN EXISTENCE OR WHY DO WE DEAL WITH LITERATURE?

The article tries to answer the question concerning the causes and reasons why we deal with literature at all and it also tries to define the status of literary studies themselves (including Polish studies); at the same time, the author of the article argues that literary studies as an autonomous discipline of knowledge, possessing its own, separate language and isolated, precisely defined subject-matter of research, does not really exist. He points out to the relativity and arbitrariness of the boundaries marking out the division of the total area of human knowledge into individual disciplines, and draws attention to the institutional division of the university into subject areas, faculties or departments. According to the author, the real goal of Polish studies should be the “shaping of human sensitivity and imagination”, “renewing existence through broadening the space of our own life” and constructing refreshing cognitive fictions that allow us to understand the world and ourselves anew.